Przysyłka pocztowa opłacona ryczałtem. Cena 25 groszy

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy" Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.
Administracja czynna od 10 — 2 i od 4 — 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok II. WARSZAWA, DNIA 27 WRZEŚNIA 1924. Nr 55.

Chjeno-Piast redivivus.

Sprzymierzeńcy z Lanckorony rozpoczęli akcję przygotowawczą do szturmu o teki, który nastąpi z chwilą wznowienia prac Sejmu i Senatu. Role zostały podzielone: Związek Ludowo-Narodowy, czyli poprostu endecja, podnosi od krańca do krańca Rzeczypospolitej krzyki i larum przeciwko polityce ministra spraw zagranicznych p. Skrzyńskiego, a pan Witos ofiarowuje swoje usługi dla nowego „ratowania ojczyzny" z gotowością zapomienia o swoich krzywdach. Nie prowadzi się wyraźnej akcji przeciw całemu gabinetowi p. Wł. Grabskiego. Bo i po co? Są tam ministrowie, z ktorymi nowa edycja rządów Chjeno-Piasta z łatwością się porozumie. Natomiast atak na politykę zagraniczną, po za chęcią zemsty za p. Zamoyskiego, którego zresztą endecja sama zdradziła i oddała na ofiarę w nadziei na nieudałą rekonstrukcję, jest obliczony na to, że rząd posiadający wyraźny program i godność musi sprawę p. Skrzyńskiego uznać za swoją.

Bo o cóż jest głównie larum? O to, że p. Skrzyński oparł swoją politykę w Genewie na zapoczątkowaniach zmian w polityce narodowościowej w Polsce. O to, że zapowiedział uniwersytet ukraiński we Lwowie i o to, że doprowadził do humanitarnego układu polsko-miemieckiego w Wiedniu w myśl arbitrażu p. Kaeckenbecka. Był jeszcze jeden „zarzut": mianowicie nieodpowiedzenie na górnośląski ustęp mowy p. Mac-Donalda, ale ten zarzut z chwilą, kiedy w t. zw. pro-

tokóle istnieje wyraźny artykuł, na mocy którego sprawa górnośląska nie może być przez Ligę ponownie traktowana, jest o tyle bezpodstawny, że nawet *Dwugroszówka* obliczona na tępotę czytelników, do niego nie ucieknie się.

Pozostałe dwa zarzuty powinny być przez cały rząd podjęte z otwartą przyłbicą. Rząd pana Władysława Grabskiego, o ile nie chce stać się jeńcem i pastwą szturmującej o teki prawicy, musi powiedzieć, że chce zaprowadzić zgodę pomiędzy narodami Rzeczypospolitej i że będzie szedł do tego celu, zadawalniając słuszne aspiracje i Niemców i Urainców i innych, nie zwracając uwagi na krzykactwo. Jeżeli gabinet p. Wł. Grabskiego będzie chciał się z tej sytuacji „wymigać", jeżeli nie postawi sprawy jasno, lękając się krzyków endeków, którzy zbierają się nawet na „wielki zjazd", to naturalnie, że zawrze kompromis z prawicą, która go położy i obsiędzie znowu teki ministerjalne, aby poprawić swoje nadszarpane sanacją interesy.

Demokracja polska nie może uważać dotychczas sprawy gabinetu p. Grabskiego za swoją, ale mogło by to nastąpić, gdyby rząd obecny zdecydował się przyjąć wydaną mu przez reakcję walkę otwartą o zasadę rządzenia państwem. Zapewne, że nie nadają się może do takiej walki różni członkowie gabinetu p. Wł. Grabskiego, ale program pozostaje i ponad ich głowy wyrasta. Mądra, uczciwa polityka demokratyczna, która uczyni z Niemcow, Ukraińców, Białorusinów i Żydów dobrych obywateli Rzeczypospolitej — może być terenem, na którym demokracja polska spotka się z p. Wł. Grabskim i zapewni mu sukces w podjazdowej, intryganckiej i krzykliwej wojnie, którą „Chjeno-Piast" redivivus rozpoczyna.

S. G.

Czy brnąć dalej w błąd?

Rozprawy w Lidze Narodów i oświadczenia premjera MacDolanda wywołały w opinji naszej objawy anglofobji. Nastrój ten wprawdzie łatwo w danych okolicznościach zrozumieć, ale z punktu widzenia celowości państwowej godzić się z nim niepodobna, gdyż dyktuje on polityce naszej wskazania, które w każdym razie są szkodliwe, a mogą się stać wprost zabójcze Prasa prawicowa już rozpoczęła coś w rodzaju kampanji antiangielskiej, a w jednym z dwutygodników ukazał się specjalnie dla niej napisany artykuł byłego prezydenta i premjera Poincare'go, który, uskarżając się na politykę angielską w stosunku do Francji i Polski, podnosi walkę przeciw niej niemal do godności wskazania programowego.

Czy mamy iść za niem? Czyż mamy nietylko kontynuować, lecz jeszcze powiększyć błąd, któryśmy zrobili już w pierwszym roku niepodległości Polski i który nie pozostał dla nas bez

ujemnych następstw. Błąd ten polegał na zbyt stanowczem przechyleniu się Polski na stronę Francji zamiast utrzymania środkowej pozycji wobec obu wielkich mocarstw zachodnich.

Opinja nasza nie zdaje sobie sprawy, że już w pierwszych tygodniach po kapitulacji Niemiec, t. zw. Komitet Narodowy, który uchodził poniekąd za reprezentację polityki polskiej, zajął stanowisko, które musiało nasuwać Anglikom pewne obawy co do przyszłej polityki państwa polskiego. Manifestował on wraz z frankofilstwem stanowcze rusofilstwo, a więc stawał na gruncie aljansu francusko-rosyjskiego, który, jak się wtedy zdawało, miał widoki jaknajrychlejszego odnowienia. Oczekiwano, że bolszewizm upadnie lada tydzień i że wróci dawna Rosja. Tendencje t. zw. Komitetu Narodowego przejął premjer i minister spraw zagranicznych Paderewski, a prócz niego wyznawał je cały szereg wybrańców Komitetu, którzy zajęli wszystkie ważniejsze placówki zagraniczne. Anglicy zatem, obserwując ich i słuchając, zbierali dane co do przyszłej naszej polityki, i nie mogli się niemi zachwycać.

Perspektywa odrodzenia potęgi rosyjskiej i wznowienia aljansu z Francją to był cień, przesuwający się po jasnem tle wielkiego tryumfu, jaki odniosła Wielka Brytanja. Na groźby te wskazywał Lloyd George, cytując słowa lorda Beaconsfielda o lodowcu rosyjskiem, staczającym się ku posiadłościom angielskim w Azji. W mniemaniu Anglików Polska prawdopodobnie miała zostać dodatkiem tej groźnej potęgi, która ich będzie szachowała w Azji i w Europie. To, rzecz prosta, wpłynęło w sposób niekorzystny na stosunek Anglji do naszego państwa i odbiło się na niektórych postanowieniach kongresowych.

Strzeżmy się jednak przesady. Niebezpieczeństwo rosyjskie ukazywało się nazajutrz po wojnie z dalekiej perspektywy, a polityka angielska nie była i nie jest nerwowa. Co do Polski nie było jeszcze ustalonego zdania, bo chociaż Komietet Narodowy chciał za granica uchodzić za rzeczywisty rząd polski, w kraju był Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny, a jego polityka w rozległej dziedzinie spraw wschodnich szła po linji zgoła odmiennej od wskazań i pragnień tegoż Komitetu. Właściwie tedy rusofobja angielska nie miała jeszczce racji uważać Polski za podporę przyszłej Rosji, mogła tylko żywić co do tego pewną podejrzliwość, która na aktualność polityczną miała wpływ mocno ograniczony. Ale też trzeba być zupełnym ignorantem, aby na serjo wierzyć, że postawa Angji była względem nas wroga. Inaczej byśmy wyglądali, gdyby to była prawda. Postawę tę można określić jako powściągliwą, podejrzliwą; bywała zresztą czasami niechętną.

Z kolei Polska, jakkolwiek przechylała się widocznie na stronę Francji, w sporach tej ostatniej z Anglją zachowywała się powściągliwie i nie posuwała się do otwartej anglofobji.

Obecnie Poincaré pragnąłby zainaugurować jakąś akcję antiangielską, do której zdaje się zachęcać Polskę. Oskarża on Anglję o zamiar zniszczenia przy pomocy Niemiec i Rosji Ligi Narodów i pragnąłby, aby Francja, Polska i inne państwa sprawiły, iżby to się jej nie udało.

Wyznajemy otwarcie, iż nie rozumiemy *in concreto* owego „zniszczenia" Ligi i zabójczych planów, jakie były kierownik polityki francuskiej przypisuje Anglji. Oczywiście gdyby Polska w jakichś celach prewencyjnych wzięła udział w akcji zwróconej przeciw tej ostatniej, wystawiłaby się na największe niebezpieczeństwo. Wszak ma już tak wrogich i niebezpiecznych sąsiadów jak Niemcy i Rosja, nie licząc jeszcze paru mniejszych. Gdyby po ich stronie znalazła się jeszcze Anglja, położenie Polski stałoby niezmiernie trudnem, niemal rozpaczliwem. Pomoc Francji stanowczo w takim razie nie wystarczy, a Poincaré z dziejów własnej kampanji o Ruhrę mógł się przekonać o istotnym stosunku sił i szansach wygranej.

Polska nawet w zmniejszonym zakresie nie może uprawiać poincaryzmu, gdyż ryzykowałaby zbyt wiele i to bez widoków powodzenia.

T. G.

Niesmaczny żart gen. Sikorskiego.

Wolno było mniemać, że jeśli nie społeczeństwo, a przynajmniej jego politycznie myślące góry, to już w każdym razie rząd zdaje się sobie sprawę z osobliwie trudnego położenia państwa w dobie obecnej, wytworzonego zbiegiem wielce poważnych trudności zewnętrznych i wewnętrznych. Chwila obecna w życiu Polski jest niezmiernie osobliwa i pełna najgłębszych trosk, wskazań i powagi. Stawia ona też rządowi zadania szczególnej doniosłości, zarówno w dziedzinie pracy wewnętrznej i polityki zewnętrznej, od rozwiązania których zależy w znacznej mierze bezpieczeństwo i nienaruszalność dzisiejszych granic Rzeczypospolitej.

Niema w tem przesady — taka a nie inna jest treść dnia dzisiejszego.

To też wprost wstrząsające wrażenie wywrzeć musi wiadomość, że właśnie w tej chwili jedną z głównych trosk ministra spraw wojskowych jest troska o... „upiększenie dotychczasowego munduru" wojskowego, przez wprowadzenie (*Polska Zbrojna* № 261): otoki barwnej na czapkach, lampasów, srebrnych naramienników z buljonami i frendzlami w zależności od rangi, srebrnych paradnych pasów, takichże guzików i t. d. i t. d.

Dla przeprowadzenia tej reformy powołano do życia specjalną Komisję Mundurową złożoną z przedstawicieli: Sztabu

Generalnego, Szefa Administracji, departamentów broni i t. d., pod przewodnictwem... gen. Kazimierza Sosnkowskiego.

Granice trzeźwego sądu rzeczy przerasta pomysł oblepienia skromnego, polowego, szarego munduru wojskowego srebrnymi buljonami, pasami, guzami i lampasami — odebranie oficerowi i podoficerowi obecnego wyglądu skromnej powagi i uczynienie zeń operetkowej, groteskowej figury: w angielskiej kurtce z historycznemi ozdobami polskiemi z 1830 roku.

Budżet państwowy trzeszczy pod ciężarem niedoborów, oficer boryka się ciężko z nędzą wynikającą z rażąco niedostatecznego uposażenia, a p. minister zabiega w sprawie „upiększenia munduru“.

To jedna strona sprawy.

Drugą jest ta pompa, ten rozmach, jaki tym niewczesnym przygotowaniom został nadany przez mianowanie przewodniczącym komisji gen. Sosnkowskiego.

Żart to czy kpiny?

Jakto? — więc dla jednego z najzdolniejszych generałów, długoletniego ministra i jednego z głównych organizatorów armji, niema już pod rządami gen. Sikorskiego innego zastosowania nad przewodniczenie komisji „upiększenia munduru“, które oczywiście jest zwykłym bluffem bez żadnych widoków realizacji? Więc w czasie szczególniej talentów potrzeby, pierwszorzędna wiedza i doświadczenie wojskowe nie mogą być pożyteczniej dla armji i państwa wykorzystane, jak tylko na bezpłodnem i nierealnem stylizowaniu rysunku guzików, pasów i buljonów?

Jeżeli miał to być żart, to należy on do kategorji grubo niesmacznych; a jeżeli kpiny, to niech nam wolno będzie uchylić się od określenia ich gatunku.

Gen. Sikorski zorjentował się w drażliwości tego posunięcia i mianował siebie zastępcą przewodniczącego komisji „upiększania munduru“.

Konsekwencją tego kroku powinno być już tylko ustąpienie teki ministerjalnej prof. Gembarzewskiemu, który mógłby z większym autorytetem i fachowością rozwiązać dylemat srebrnych buljonów, pasów i guzików dla zakrycia dziur w mundurach oficerskich. *w. s.*

Polska i Gruzja.

W dziejach Gruzji — rozbrzmiewającej dziś rozpaczliwą walką o wolność — i Polski, z krwi i pożogi wojennej, po przez bohaterskie boje zmartwychwstałej, snuje się nić analogji. Jest nią historja narodow wolnych duchem, mających wspólne w dziejach ludzkości posłannictwa i rzuconych między dyszące żądzą przemocy potęgi zaborców. W ciękiej walce o utrzy-

manie niezależności znaczą bielejącemi kośćmi swych synów te same szlaki wygnańcze, z krzepiącą siły nadzieją swobodnego jutra.

Przebiegnijmy wzrokiem—rycerską tradycją przesiąknięte—karty dziejów promiennej Iberji.

Od pierwszych chwil państwowego ukształtowania zmaga się z chazarami i zachłannem Bizancjum. W przymierzu z ludami Kaukazu, potężnie z jednej strony o Czarne a zdrugiej Kaspijskie morze oparte, jest przedmurzem chrześcijaństwa na Wschodzie. Przoduje bratnim narodom w bojach z najazdami Arabów i mężnie znosi jarzmo niewoli perskiej. Po wielu latach cierpień silna duchem i wiarą zrzuca pęta dzikiego zaborcy, by z kolei losów ulec podbojom Gregów i Rzymian, a z ich upadkiem — państwu osmańskiemu.

Wiek XVIII-ty zastał Gruzję wtrąconą między Turcję i carat rosyjski. Nieszczęsny ze wszystkich stron uciskany kraj, został podstępnie aneksjonowany przez nienasyconą Moskwę. Ludy Iberji, Azerbejdżanu i Armenji znowu spłynęły męczeńską krwią.

Sześć lat temu, uwolnione dzięki wielkiej rewolucji, republiki ogłosiły akt niepodległości, ale brutalna siła czerwonych carów Kremlina zakuła je w jarzmo z powrotem.

Dziś, gdy już wiele burz powstańczych przewaliło się nad szczytami niebotycznych gór Kaukazu, znacząc je mogiłami poległych bohaterów — Gruzja zerwała się do dalszej walki o niezależność.

Oto dzieje narodu toczącego od wieków krwawy bój o wolność.

Zbliżyły one bijące wspólnem pragniem serca, a „w dalekim sybirskiem zesłaniu, w stepie śnieżnym, w mroku kopalni, zakwitł ów śmiech przyjaźni, pozdrowienia się duchów wolności, który na licach dwu dalekich ludzkich typów jaśnieje“.

Demokracja Polski, z mroków niewoli orężem podźwigniętej, łączy się dzisiaj w uczuciach z rycerskim ludem przesławnej Iberji. Wierzymy, że nadejdzie dzień, który bratniemu narodowi przyniesie szczęście i radość z odzyskanej na wieki niezależności. Póki jutrzenka swobody nie opromieni skał nieszczęsnego Kaukazu, sumienie ludów Europy nie może zaznać spokoju.

n.

Jeszcze o uniwersytet ukraiński.

Dyskusja nad sprawą uniwersytetu ukraińskiego rozwinęła się dość szeroko. Zabiera w tej sprawie głos szereg dzienników — a tu i tam spotykamy nawoływanie do kompromisu.

Opinja przelękła się szalonego zgiełku, jakiego narobiła endecja przeciw umieszczeniu uniwersytetu tego we Lwowie

i szuka wyjścia. A zazwyczaj człowiek zastraszony znajduje wyjście jak najgorsze, bo chce zapalić i Panu Bogu świeczkę i djabłu ogarek, zapominając o tem, że chodzi tu nie o surogat światła, ale o światło samo.

Założenie uniwersytetu jest aktem państwowym olbrzymiej doniosłości i dla tego nie można się tu wdawać w drobiazgowe przetargi, ani ustępować rozkrzyczanej demagogji. Trzeba sobie wytknąć cel i iść ku niemu z niezachwianą konsekwencją.

Otóż ustalmy sobie teraz parę punktów zasadniczych.

Ziemia Czerwieńska jest krajem polsko-ukraińskim, w którym żyje ludność mieszana. Przeniknęła ją kultura polska, bogactwo jej tworzy głowa i ręka polska. Większość jej ludności to Ukraińcy. Ponieważ zrobiliśmy w tym kraju wiele, zajmujemy tu miejsce przodujące. Ponieważ przeszło trzecią część ludności tu stanowia Polacy, Rzeczpospolita ma prawo do niego.

A ponieważ zasady demokracji, sprawiedliwości i pokoju wewnętrznego domagają się uczynienia zadość potrzebom wszystkich obywateli państwa, na tej ziemi polsko-ukraińskiej wprowadza się równouprawnienie obu języków, obu narodowości. Właśnie to równoległe traktowanie Polaków i Ukraińców jest najlepszym uprawnieniem dla nas posiadania całości ziemi Czerwieńskiej.

Dobrze więc jest, że w siedzibie archidjecezji polskiej jest i ukraińska, że wyższe urzędy polskie mają w części urzędowania język ukraiński. I ze wszech miar dobrze będzie, jeżeli w głównym ośrodku kraju obok polskiego powstanie uniwersytet ukraiński.

Nie chcą tego krótkowidze. Nie pozwalają narażać na szwank polskości Lwowa. Więc cóż?

Więc z najlżejszem sercem wybiera się Stanisławów, Kołomyję, Łuck albo Tarnopol, po to, by stworzyć miasto wyłącznie ukraińskie, siedzibę, gdzie Polacy wogóle nie będą mieli nic do gadania. Krok dalej, a przystąpimy do całkowitego podziału kraju, pozwalając się zupełnie wytępić w pewnych jego okolicach, aby mieć swobodę tępienia Ukraińców gdzieindziej.

Ale czy w ten sposób nie utracimy praw do tych części ziemi Czerwieńskiej, gdzie nas wcale nie będzie?

Każdy zdrowo myślący człowiek rozumie, że jest to droga niebezpieczna, godna krótkowzrocznych zaściankowiczów pozbawionych wiary w siły kulturalne swego narodu, ale gotowych w każdej chwili wołać o pomoc bagnetu z centrum państwa. Powodować się ich głosami znaczy zatracić linję rozwojową własną i iść na rękę naszym najgorszym wrogom.

Zupełnie drugorzędnym argumentem jest twierdzenie, że w małych miasteczkach lepiej się rozwijają wyższe uczelnie niż w centrach dużego ruchu. Niemcy stać było za jednym zama-

chem tworzyć takie uczelnie i wyposażać je należycie. Czy Polskę stać na to? Czy społeczeństwo ukraińskie może się na to zdobyć? Toż uniwersytet ukraiński niewątpliwie przez pierwsze lata istnienia będzie się tułał w budynkach wynajętych!

A czyż to jest tajemnicą, że we Lwowie było kilka katedr ukraińskich, których istnienie uwzględniać musiała i bibljoteka uniwersytecka. We Lwowie istnieje pomoc naukowa i t. d. Jak to wszystko przenieść do Złoczowa, czy Kołomyi?

To też tego rodzaju argumenty nie mają źródła ani w poważnem wglądnięciu w sprawę, ani też w istotnie dobrej woli.

Istnieje jeszcze jeden. Dziś niema warunków odpowiednich do zgodnego spółżycia młodzieży we Lwowie. Niema atmosfery.

Śmiemy twierdzić, że z tego rodzaju rzeczami trzeba raz skończyć. Albo żyjemy w państwie, albo w odmęcie anarchji. W pewnej chwili w Warszawie nie było odpowiedniej atmosfery do wyboru na prezydenta ś. p. G. Narutowicza. Atmosferę władze zdołają narzucić, a tych, którzy ją zechcą zakłócić — skarcić i to bardzo surowo. Tej surowości wymagamy i będziemy wymagać, bo jeśli mamy być narodem wielkim i państwem potężnem, karność musi być wpojona we wszystkich obywateli.

Z żartami i strachami trzeba raz skończyć; tak samo trzeba skończyć z chwalbą małych miasteczek na siedziby dla uniwersytetów (żeby nam nie zaproponował ktoś na ten cel Klimontowa). Trzeba szczerze przystąpić do organizowania uniwersytetu ukraińskiego we Lwowie.

A. Uziembło.

Dziwny pośrednik.

Komunikat oficjalny doniósł, że poseł Stanisław Grabski wyjechał do Rzymu w charakterze specjalnego delegata rządu do „porozumiewania się ze sferami Watykanu“ w sprawie przygotowującego się projektu konkordatu.

Jak to się łatwo przekonać w budżecie ministerstwa spraw zagranicznych, uboga Polska utrzymuje przy Watykanie stałe przedstawicielstwo dyplomatyczne z ministrem pełnomocnym na czele. Wydatki na przedstawicielstwa dyplomatyczne ponoszone są przez społeczeństwo nie dla zrobienia przyjemności lub składania czołobitności głowom obcych państw, a wyłącznie celem zapewnienia obrony interesów własnego państwa.

Poseł polski przy Watykanie nie jest zbyt przeciążony pracą—jego normalne funkcje mógłby doskonale spełniać poseł przy Kwirynale—i jednym z najważniejszych jego zadań jest właśnie „porozumiewanie się ze sferami Watykanu“ włącznie z jego głównym gospodarzem, w sprawie konkordatu. Jest on też, a przynajmniej winien być, najlepiej do tego przygotowany. Jeśli tak nie jest — należy zmienić posła.

Tymczasem poseł nie został zmieniony, a więc najwidoczniej jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, tylko... do pertraktacji w sprawie konkordatu wyjeżdża specjalny delegat rządu.

Jest to nie tylko absurd, ale objaw zupełnej anarchji.

Jeżeli rządowi zależy na zapewnieniu posłowi w tak poważnej pracy dyplomatycznej pomocy przedstawicieli ciał parlamentarnych, to po 1) powinno być do tego zaproszone przedstawicielstwo prawidłowo ukonstytuowane, a nie jednostka, zupełnie przytem niekompetentna, i 2) to przedstawicielstwo winno pracować w Warszawie, a nie obciążać państwa kosztownemi podróżami.

Nie sposób uwierzyć aby ekstrawagancyjna wycieczka p. Stanisława Grabskiego była dokonana za zgodą i wiedzą ministra Skrzyńskiego, respektującego przecież jakiś porządek i przyzwoitość w stosunkach służbowych i pracy dyplomatycznej.

w. s.

Polacy na Śląsku Opolskim.

Na Śląsku Opolskim odbyły się powtórne wybory do parlamentu niemieckiego. Poszczególne listy otrzymały następujące liczby głosów:

	w pierwszych wyborach (maj b. r.)	obecnie
centrum niem.	192.170	191.683
nacjonaliści	101.333	81.002
komuniści	125.408	75.917
Polacy	**69.364**	**35.839**
socjal-demokraci . . .	24.795	19.229
niem. partja woln . . .	17.543	11.836
„ „ ludowa . . .	17.768	11.683

Mandaty przypadły: centrum — 6, nacionalistom — 1 i komunistom — 1.

Ten rezultat wyborów narzuca całemu społeczeństwu imperatyw poważnego zastanowienia się nad rozumnemi środkami moralnej i materjalnej pomocy Polakom na Śląsku Opolskim, niedostatecznie jeszcze przygotowanym i zorganizowanym do obrony swych praw.

Sprawa o inwiligację Marszałka Piłsudskiego.

Czytelnik ma niewątpliwie w świeżej pamięci głośną sprawę ujawnienia w wojsku sieci szpiegowskiej, jaką rząd Chjeno-Piasta otaczał Marszałka Piłsudskiego.

Z raportu złożonego wówczas przez oficera II oddziału Sztabu Generalnego, por. Błońskiego, swojej władzy przełożonej dowiedzieliśmy się, że Szef Wydziału wywiadowczego tegoż oddziału, mjr. Pieczonka, na rozkaz p. ministra gen. Szeptyckiego przystąpił do zorganizowania wojskowego aparatu szpiegowskiego, przeznaczonego do t. zw. inwigilowania pierwszego Marszałka i jego otoczenia. Ustalone zostało również, że mjr. Pieczonka współpracował w tym dziele z historycznym już dzisiaj szefem defensywy politycznej Swolkieniem, działającym ze swojej strony zgodnie z wolą p. Kiernika z Bochni, wówczas ministra cenzury prasowej i bolła-

tera listopadowych wypadków krakowskich. Nieporównany dowcip skonsternowanego tą „wsypą" gabinetu p. Witosa, podsunął mu arcygenjalną myśl salwowania się z opresji przez osadzenie na ławie oskarżonych por. Błońskiego za... fałszywy meldunek. Zmiażdżyć i do Canossy doprowadzić oskarżonego podjął się sam p. prokurator pułk. Janczewski, przyjaciel profosa więzień czrezwyczajek bolszewickich płk. Bielakowskiego, świeżo wsławiony w procesie Bagińskiego i Wieczorkiewicza.

Świadkowie powołani do sprawy przez prokuratora i oskarżonego, a zwłaszcza ci drudzy, wnieśli tyle materjału rewelacyjnego, że sąd uznał za konieczne przerwać rozprawy i uzupełnić śledztwo.

Od tego czasu upłynęło już kilka miesięcy, w przeciągu których — o ile nam wiadomo — sędzia śledczy zadanie swe ukończył, a o wznowieniu rozprawy głucho. Podobno wpływowe i wysoko postawione osobistości nie szczędzą wysiłków w celu całkowitego pogrzebania tej drażliwej i niebezpiecznaj dla dygnitarzy rządu Chjeno-Piasta sprawy.

Wiele do myślenia dają również niezmiernie dziwne zmiany osobowe w warszawskim okręgowym sądzie wojskowym, zmiany, których tendencja jest aż brutalnie przejrzysta. Mamy tu na myśli przesunięcie prezesa tego sądu gen. Dańca do wojskowego sądu najwyższego, bez najmniejszych ku temu słusznych podstaw rzeczowych.

Ten i inne sygnały gwałtownego wzmagania się wpływów endecji na wewnętrzne sprawy wojska, zmuszają do czujności. Sprawa por. Błońskiego nie może być bezkarnie zamazana klajstrem kompromisu w postaci nieco dziwnego paktu o wzajemnej nieagresji, którego ceną jest interes i zdrowie moralne armji.

w. s.

Dążenia i cele Związku Legjonistów.

Prezes Związku Legjonistów, jeden z najszlachetniejszych i najofiarniejszych synów Polski, W. Sławek, z okazji otwarcia wystawy legjonowej w Krakowie, oświadczył imieniem Zarządu Zw. co następuje:

Tegoroczny III Zjazd Związku Legjonistów w nastroju obrad i powziętych decyzjach nakazał Zarządowi Związku wszczęcie akcji zmierzającej do uzdrowienia życia naszego.

W uchwałach swych Związek Legjonistów powiedział pod adresem czynników, decydujących o tem, co się w Polsce dzieje, że się dzieje źle. Że partje polityczne, których treść obraca się wyłącznie około materjalnych zainteresowań takiej lub innej klasy społecznej, względnie nawet grupy osób, obniżyły rozmach życia politycznego i same zatraciły zrozumienie dla tych spraw, które stoją i stać muszą ponad poziomem szarej codzienności.

Istnieje zawsze pewien nacisk kłopotów materjalnych na treść naszego życia, lecz bez wykultywowania w nas zdolności do zrozumienia — mózgiem lub uczuciem — spraw moralnych, honoru oraz dumy i ambicji państwowej, nie rozwiniemy pełnej naszej wartości. Nie zdołamy wydobyć z obywatela Rzeczypospolitej tej moralnej tężyzny, jakiej może wymagać od niego Polska w momencie dla siebie krytycznym.

A specjalnie w narodzie, który, jak my, tak słabo ma rozwinięty instynkt organizacyjny, kwestja rozbudzenia entuzjazmu i zapału jest warunkiem naszego powodzeuia w zmaganiu się z naszymi sąsiadami sił i wpływów, zarówno codziennych, jak i w wypadkach nadzwyczajnych.

Istniejące dzisiaj partje polityczne takiego celu wyższego rzędu wskazać narodowi nie umieją, a treścią życia politycznego uczyniły swary o interesy materjalne, lub o ambicje — lecz przeważnie tylko osobiste. W grę współzawodnictwa o swoje wpływy wciągają wszystko: aparat państwowy, sąd, sprawy zagraniczne, a również i wojsko.

Otóż tu jest punkt, przy którym trzeba powiedzieć: dosyć, dalej iść nie można.

Wojsko w ich sporach udziału przyjmować nie może, to też nie można pozwolić, by te spory odbijały się na wewnętrznej pracy wojska, by przeszkadzały jemu w przygotowywaniu się do swoich zadań i swojej roli. *Wojsko nie może być odskocznią dla karjery politycznej i na jego wewnętrzne warunki pracy nie mogą oddziaływać względy czy względziki partyjno-personalne.*

Wojsko pozbawione praw politycznych, przysługujących każdemu zwykłemu obywatelowi, nie mogło się bronić przed razami, jakie mu zdawała i zdaje polityka partyjna.

Ambicją wojska jest potęga i honor Rzeczypospolitej. Honor żołnierza, oficera, własnego pułku, całej armji i Wodza. To są tony w duszy, które cudów mogą dokonać, lecz trzeba, by ten, kto duszę wojska kształci i urabia, nosił w sobie te wartości, o takiej sile i napięciu, gdzie targi i ustępstwa już nie sięgają. Takim człowiekiem jest dla wojska ten wódz, który je prowadził po przez wszystkie zmagania do niepodległej Polski i zwycięskiej wojny.

My, legjoniści, daliśmy Polsce gotowość bojową i wykazaliśmy nieustępliwość tam, gdzie chodziło o honor. Daliśmy wcielenie w realny wyraz, bo w czyn bojowy, tęsknoty do wyższych wartości, nierozwodnionych djalektyką tanich frazesów narodowych.

Z wysiłku walki o Polskę kształtowały się nasze poglądy. Środowiskiem dla nas najbliższem jest wojsko. Tam mamy przyjaciół, z którymi nas wiążą nie tylko wspólne przeżycia w przeszłości, ale i jednakowe pojmowanie roli naszej w budowaniu przyszłych dróg Polski.

Znaleźliśmy się dzisiaj poza wojskiem. Zdjęliśmy mundur— zyskaliśmy prawa polityczne. To też w ramach konstytucji z tych praw możemy i musimy skorzystać.

Możemy i musimy rozbudzić w narodzie poczucie dumy i ambicji państwowej, pogardę dla matactw i przekupstwa, poszanowanie dla prawa i rzetelnej pracy.

Możemy i musimy podciągnąć szerokie warstwy do poziomu, na którym będą miały poczucie odpowiedzialności za losy Rzeczypolitej.

Nas nauczył walczyć o te ideały Komendant Piłsudski, a dla szerokich mas stał się symbolem wyższych wartości, wyrazicielem ich ukrytej tęsknoty do ideału.

To też w ramach, powtarzam, prawa i konstytucji odwołamy się do opinji tych mas, aby położyć kres odsuwaniu przez partje Marszałka Piłsudskiego od wpływu na życie polskie.

Tak, jaki ogniś w okresie przygotowania pierwszych polskich żołnierzy, jak później w momencie formowania legjonów, zdołaliśmy skupić dla wspólnego wysiłku ludzi różnych warstw i ugrupowań politycznych, tak i teraz znajdziemy obok siebie tych, którzy duszą się w atmosferze obecnych partji, i cały szereg tych którzy do żadnych partji nie należą, a których ambicją jest stwarzać na różnych odcinkach życia polskiego wartości wyższe i własne.

Wystawa w Konstantynopolu.

Nie mamy szczęścia do przedsięwzięć, mających na celu propagandę: czy to w zakresie politycznym czyto w dziedzinie przemysłu i handlu. Prawie zawsze okazuje się w ostatecznym bilansie, że koszta są wielkie, a pożytku bardzo niewiele. Zaniedbaliśmy tę dziedzinę już w okresie wskrzeszenia naszego państwa w przeciwieńswie do Niemiec i Rosji. Nie mieliśmy odpowiednich ludzi, czy też nie umieliśmy ich odnaleźć i wyzyskać ich uzdolnień. To też dzisiaj, kiedy potrzebę intensywnej propagandy wszyscy już bodaj zrozumieli, nie tak łatwo naprawić błędy popełnione. Praca nasza ma charakter dorywczej improwizacji. Gra nie warta świeczki.

Podobne wrażenia wyniósł niemal każdy kto zwiedzał obecną wystawę polską w Konstantynopolu, której otwarcie poprzedzała reklama huczna u nas w kraju, mniej huczna za granicą. To też polaków na wystawie bardzo dużo, a turków — mało. Jeśli chodzi o zawarte tranzakcje, to wynik jest daleki od oczekiwań.

Przyczyny słabego powodzenia wystawy nie leżą w jej organizacji. Poseł nasz w Turcji p. Knoll, jeden z niewielu polskich dyplomatów, którzy potrzebę wszechstronnej propagandy uznają i rozumieją, uczynił wszystko, aby wypadła ona jaknajlepiej. Wybrano na wystawę miejsce jaknajbardziej odpowiednie na wybrzeżu Top-Hanc nad Bosforem w otoczeniu tak pięknem, jakie trudno znaleźć gdziekolwiek w Europie. Pawilony urządzono z dużym smakiem, nie przeładowano ich eksponatami, z pośród których wybrano najlepsze i najpiękniejsze, a w wielu wypadkach (np. w dziedzinie przemysłu włóknistego) zastosowane do wschodnich gustów. Na terenie wystawy można się czuć dobrze, zwłaszcza w godzinach wieczornych, zdala od ohydnego wrzasku i zgiełku ulic Galaty,

od zaduchu Stambułu, od lupanarów Pery, w rozkosznem otoczeniu wód Bosforu, z widokiem na nęcący swą zagadkowością brzeg azjatycki. Gromady turków, przeprawiających się bezustannie parostatkami do Skutari i z powrotem, patrzą codziennie na oświetlony rzęsiście teren wystawy i pokazują go sobie palcami, a jednak rzadko który z nich decyduje się wystawę odwiedzić.

O braku sympatji turków do nas mówić niepodobna, chociaż większość polaków, którzy pojawili się obecnie w Konstantynopolu, na tę sympatję bodaj czy zasługuje. Na każdym kroku można się spotkać z objawami grzeczności. Słowo „Lechistan“ ułatwia każdemu turyście sytuację i otwiera mu wstęp wszędzie, nawet do zabronionych dla cudzoziemca miejscowości, jak pałace i ogrody Seraju, których piękność nie da się z niczem porównać. Turcy, aż do konduktorów tramwajowych i handlarzy ulicznych włącznie, są dla nas niesłychanie uprzejmi, ułatwiają nam zakupywanie w Konstantynopolu wszystkiego, czego dusza zapragnie, lecz na naszej wystawie mało się dają oglądać.

Jedni przyczynę tej abstynencji widzą w zbyt drogich cenach biletów wejścia i twierdzą, że wstęp na wystawę należałoby udostąpić wszystkim, zgodnie z demokratycznym charakterem obcej republiki tureckiej. Daleko więcej słuszności mają jednak ci, którzy główną przyczyną złego widzą w niedostatecznem przygotowaniu propagandystycznem. Błędy popełnione w ciągu kilku lat, mszczą się obecnie.

Co my wiemy o turkach? Bardzo niewiele, po za wątpliwej autentyczności enegtotą o zapytywaniu się na dorocznym selambiku przez sułtana o nieobecnego posła Lechistanu. Byliśmy domatorami. Wystarczał nam krajowy brud i zaniedbanie. Gnuśnność i inercję poczytywaliśmy sobie za miłość ojczyzny. Jeżeli wyjechaliśmy po za granice państwa, to jedynie dla przyjemności i rzadko kiedy potrafiliśmy kogoś zbudowań naszym przykładem. Polski hrabia (a któż za granicą nie był hrabią lub nie kładł „de“ przed swoim nazwiskiem) był osobistością bardzo niepopularną za granicą. Tak było wszędzie. Do Turcji zaś, która dla kupca i przemysłowca stanowi świat nieograniczonych możliwości, nie wyjeżdżał nikt przecie, prócz dawnych emigrantów, który się z małemi wyjątkami wszyscy sturczyli. W tym samym czasie inni zdobywali dla siebie rynki.

Nietylko włosi którzy na całem wybrzeżu lewantyńskiem są bez konkurencji, lecz i czesi wyprzedzili nas w inicjatywie podjęcia handlowych stosunków z turcją nowożytną*). Wciąż

---

*) Czesi wyprzedzili nas i ubiegli nawet w krajach Bałtyckich. Wystawy w Rydze bojkotują nasi przemysłowcy, utrzymując, że kraje te są zamałe aby się eksport mógł opłacić, gdy tymczasem czesi zdobywają tam sobie wciąż rynki zbytu.

spotyka się kupców z tych krajów, wytrwale ze swemi próbkami objeżdżających kraj, pomimo trudności komunikacyjnych. Prowadzą oni systematyczną i wzorową pracę. My systematycznie pracować nie umiemy. Potrzeba nam muzyczki baletu z Poznania, bankietów i uroczystości, a w rezultacie — deficyt i figa.

W śród tych polaków którzy na wystawę przyjechali byli tacy, którzy poważnie się na swą rolę zapatrywali. Jedni wzięli się odrazu do organizowania towarzystwa Polsko-Tureckiego, inni na wiadomość o zamierzonem przez rząd turecki wypędzeniu Greków z Konstantynopola nosili się z zamiarem namówienia Greków do przenieiesnia się w nasze strony aby zasilić tym energicznym i ruchliwym żywiołem nasze kresy wchodnie, przyczem poznańczycy mieli uboczny zamiar stworzenia konkurencji dla żywiołu żydowskiego. Większość jednak przybyłych Polaków była zupełnie na wystawie zbyteczną. Zdradzała ona na każdym kroku brak elementarnej kultury, co się odczuwalo bezustannie, zwłaszcza zaś podczas siadania na statek w Constanzy w dniu 9 września. Sceny, jakie się tam rozegrały, pozostaną na długo w pamięci widzów. Zdobywanie szturmem kajut przez młodzież footbalistyczną, połączone z wyrzucaniem z nich kobiet oraz osób starszych i chorych, awantury z przedstawicielami Orbisu, który zdał egzamin niedołęztwa i niezaradności — wszystko to sprawiało na Rumunach i wogóle na cudzoziemcach bardzo przykre wrażenie.

W jakieś parę dni później widziano na Bosforze niezwykłe widowisko. Przejeżdżał tędy w drodze do Trapezundu wskrzesiciel nowożytnego państwa tureckiego, Mustafa Kemal pasza. Trzeba było widzieć jednomyślność, z jaką publiczność turecka okazywała mu entuzjastyczne przyjęcie, krzycząc i powiewając chustkami. Cała prasa bez wyjątku poświęciła wstępne artykuły Kemalowi, nazywając go „Marszałkiem Ghazi". Ghazi w tureckim języku oznacza zwycięzcę — przydomek ten nadano tym, którzy wojnę zwycięsko doprowadzili do końca. I gdy się pomyślało, jak to u nas część publiczności i prasy odnosi się do zwycięskiego wodza Polski wskrzeszonej, trudno było oprzeć się wrażeniu, że dużo jeszcze moglibyśmy się nauczyć od tych „azjatyckich barbarzyńców", których chcieliśmy olśnić naszą wystawa, a którzy pragnęliby w nas widzieć ludzi pracy, pracy spokojnej, systematycznej i uczciwej.

J. Krzesławski.

Wieczne niepokoje w M. S. Zagr.

Wydział Prasowy M. S. Zagran. jest typowym przykładem gospodarki endeckiej. W roku zeszłym oddany przez smutnej pamięci pana Seydę w ręce jego przyjaciela, pana Stefana Natansohna, został „rozsze-

rzony" przez przyjęcie kilku urzędników, rozumie się endeków, którzy odrazu zajęli stanowiska wpływowe. Operujemy faktami.

Zaraz nieledwie po ukazaniu się pana Natansohna wprowadzono: pana Józefa Buzynę, Aleksandra Jachimowicza, Bogumila Orzechowskiego, Emila Rückera, (nawet nie Polaka, lecz Niemca, czy też Austrjaka, dotąd nie umiejącego mówić prawidłowo po polsku) wreszcie ze zniesionego wydziału przydzielono pana Chojeckiego. Ponieważ jednak jednocześnie zaprowadzano oszczędności, oddalono zaraz urzędników etatowych: M. Weinryba, Zygmunta Żelisławskiego, Jana Kleczyńskiego, Annę Imienińską, Konstancję Szyllerową — wszystkich pracujących od 5, 6 lat (!) oraz nieetatowych: Zygmunta Ładę, Zygmunta Zaleskiego, Stanisława Neufelda i Franciszkę Szymanównę.

Nowoprzyjęci endecy zajmują stanowiska uprzywilejowane w wydziale prasowym. Pan Bogumił Orzechowski wysłany został do Konstantynopola jako przedstawiciel wydziału prasowego na wycieczce dziennikarzy. Pan Jachimowicz delegowany został do Genewy. Pan Rücker w inne miejsce. Każda wycieczka, każda korzystna okazja dostaje się tym tylko panom z pomięciem wszystkich innych.

Pan Bator, zajęty sprawami Rady Propagandowej, która niema nic wspólnego ani z prasą, ani z propagandą, ani z pracą państwową, nie interesuje się wcale losami wydziału prasowego. Jedyna jego troska — to utrzymać protegowanych endeckich na synekurach. Natomiast pan Stefan Natansohn, o którego dymisji doniesiono *urzędowo* w pismach, urzęduje w dalszym ciągu, t. j. przychodzi do biura, bierze pensję i nic nie robi. Dwóch naczelników 5 kategorji płac w jednym wydziale — to trochę zadużo jak na okres sanacyjny. Dla oszczędności przebąkuje się o nowych dymisjach — i naturalnie, ofiarami ich mają się stać w dalszym ciągu ludzie, którzy nie mogą pochwalić się przynależnością do kliki endeckiej. Tu właśnie jest punkt, na który należy zwrócić jaknajbaczniejszą uwagę. Ludzie, którzy przesłużyli po kilka lat, powinni stać się nietykalni. Tymczasem, starania czynione są w kierunku, aby komisja stabilizacyjna pomijała dawnych pracowników — zatwierdzając jedynie ostatnio przyjętych endcków. Tak więc ci, którzy zużyli mózg i nerwy przez szereg lat, pozostaną obecnie zupełnie bezbronni. W to powinna wejrzeć opinja publiczna biorąc w obronę prawa długoletniej pracy! Pięć lat pracy nienagannej winno być dostatecznym powodem do stabilizacji urzędnika, choćby szef-endek innych na jego miejsce przedstawiał. Wiadomo jak stronniczo usposobieni są endeccy „ludzie miarodajni" w Min. Spraw Zagranicznych! W ważnej kwestji stabilizacji powinna działać władza postronna, po za miejscową, która na względzie mieć będzie jedynie uzdolnienie i lata pracy urzędnika, nie licząc się z wolą naczelników wydziałów.

Wydawnictwa nadesłane.

ZARYS JĘZYKOZNAWSTWA OGÓLNEGO—*Stanisław Szober.* Zeszyt pierwszy, str. 228. Wydawnictwo Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego.

CHARAKTERYSTYKA I ŹRÓDŁA POWIEŚCI KRASZEWSKIEGO W LATACH 1830—1850 — *Adam Bar.* Str. 224. Prac Historyczno-Literackich wydawanych staraniem Kasy im. Mianowskiego tom 21.

GATUNEK I RASA — *prof. dr. Walerjan Klecki.* Wykłady o biologicznych podstawach hodowli, str. 268. Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego. 1924.

KRÓL NOWEGO IZRAELA — *Józef Ujejski.* Karta dziejów mistyki wieku oświeconego, str. 180. Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego. 1924.

KONIEC HORTENSJI EUROPY — *Edward Kozikowski.* Poezje. Wydawnictwo „Czartak" Warszawa—Kraków.

PANI — miesięcznik art.-lit. Nr. 8 — 9, sierpień — wrzesień. Okładka pędzla Zofji Stryjeńskiej. W tekście utwory i prace: Jana Kasprowicza, Ferdynanda Hoesicka, Jarosława Iwaszkiewicza, Karola Szymanowskiego, Cezarego Jellenty, Jana Mieczysławskiego, Władysława Skoczylasa, J. M. Rytarda, Zdzisława Kleczyńskiego i wielu innych.

Redaktor W. Stpiczyński powrócił do zdrowia i objął kierownictwo naszego pisma.

Administracja prosi P. P. Prenumeratorów o uregulowanie należności za kwartał IV-ty.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie **1 złoty,** kwartalnie **3 złote.** Zagranicą kwartalnie **5 złotych.**

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. **3288.**

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński.**

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA", Moniuszki 11.